

Ile praw dla mniejszości

Debata Klubu Ekspertów "Rzeczpospolitej"

Janusz Kochanowski, rzecznik praw obywatelskich

Nazywa się ten ustrój demokracją, ponieważ opiera się na większości obywateli, a nie na mniejszości. W sporach prywatnych każdy obywatel jest równy wobec prawa. Jeśli zaś chodzi o znaczenie, to jednostkę ceni się nie ze względu na jej przynależność do pewnej grupy, lecz ze względu na jej talent osobisty, jakim się wyróżnia. (...) Jesteśmy posłuszni każdej władzy i prawom, zwłaszcza tym niepisanim, które bronią pokrzywdzonych i których przekroczenie przynosi powszechną hańbę” – głosił Perykles w mowie z 430 r. p.n.e.

O ile u Peryklesa pojęcie mniejszości występuje raczej jako przeciwieństwo większości, o tyle w wieku XX stopniowo dokonuje się włączanie mniejszości do procesu sprawowania władzy w państwach zachodnich i w naszej części Europy. Poprzez przyznanie praw wyborczych kobietom, faktyczne upodmiotowienie różnych grup religijnych, poprawę sytuacji grup narodowych i etnicznych, zwiększanie wrażliwości wobec osób niepełnosprawnych oraz mniejszości seksualnych.

Z jednej strony jest to wytłumaczalne historycznie w ramach rekompensaty za złe traktowanie w przeszłości. Z drugiej – przez odwołanie się do idei czy też do ideologii praw człowieka. W bardzo krótkim czasie w prawie dokonała się ewolucja stosunku wobec mniejszości. Można to zilustrować na przykładzie mniejszości narodowych. W powszechnej deklaracji praw człowieka mowa jest o równości i zakazie dyskryminacji (art.7). Ale nie ma mowy o ochronie mniejszości. Już kilkanaście lat później pojawia się w art. 27 międzynarodowego paktu praw obywatelskich i politycznych ochrona dla mniejszości etnicznych, religijnych i językowych.

Postępująca rozbudowa instrumentarium prawnego służącego konkretyzacji ogólnego zakazu dyskryminacji w jakiś sposób przekłada się na mnożenie grup mniejszościowych, a więc zagrożonych naruszeniem zakazu dyskryminacji w stosunku do nich. Jest to paradoksalne, bo w walce o dyskryminację chodzi o równe traktowanie, a nie traktowanie szczególne dla wybranych osób, które to niebezpieczeństwo się obecnie pojawia.

Widać tendencje do wyróżniania raczej w kulturze niż w prawie mniejszości subiektywnych opartych na indywidualnym wyborze jednostki.

Prawo odwzorowuje te tendencje, bo ostatecznie kultura prawna nie kształtuje się w próżni. Instytucje tworzące i stosujące prawo, zwłaszcza współcześnie sądy, w tym sądy międzynarodowe, a zwłaszcza Europejski Trybunał Praw Człowieka, dysponują potężnymi środkami do promowania i udzielania ochrony mniejszościom. Innym przykładem są liczne dyrektywy antydyskryminacyjne przyjmowane w ramach Unii Europejskiej.

Zjawisko mnożenia się różnego rodzaju mniejszości ma swoje dobre i złe strony. Do dobrych należy próba konkretyzacji zasady szacunku dla każdego człowieka oraz ochrony osób pokrzywdzonych. Towarzyszy temu jednak coraz większa fragmentaryzacja społeczna, tworzenie enklaw konserwujących odrębność raczej niż otwierających się na dialog z większością czy z innymi mniejszościami.

Zjawisko to doprowadzone ad extremum zagraża wspólnocie i demokracji. Żeby demokracja była możliwa, musi dać się zidentyfikować jako podstawowa i trwała większość, w ramach której kształtuje się consensus co do fundamentów życia zbiorowego. Z punktu widzenia trwałego i ukierunkowanego rozwoju społecznego, który tak bardzo jest potrzebny szczególnie naszemu krajowi, nie wystarczą tylko chwilowe większości i koalicje interesów.

I wreszcie, co jest charakterystyczne, ale i niepokojące, prawo nie mówi o prawach większości poza rozwiązaniami proceduralnymi dotyczącymi sposobu głosowania. W końcu trzeba zauważyć, że każda grupa mniejszościowa to nie tylko kategoria socjologiczna czy prawna, ale przede wszystkim polityczna. To, z czym mamy do czynienia współcześnie, co można zaobserwować także w naszym kraju, to zjawisko dążenia grup mniejszościowych do uzyskania swoistej, właściwej tylko dla niej ochrony prawnej ze strony państwa. Nie tylko w sferze zmian legislacyjnych pozwalających im na realizację oczekiwanych możliwości i zachowań, lecz jest to walka o instytucjonalizację ochrony prawnej. Przejawia się to w dążeniu do wywarcia takiego nacisku na władze publiczne w państwie, by przekonać do powołania nowych organów państwowych, które stać mają na straży tej konkretnej grupy mniejszościowej. Istniejące od wielu lat i efektywnie przeciwdziałające dyskryminacji

postrzegane są jako mało postępowe albo ich właściwości uznawane są za zbyt ogólne. Spełnienie takich oczekiwań może zaowocować specyficznym partykularyzmem instytucjonalnym, który przynieść może jedynie efekt w postaci osłabienia istniejących instytucji.

W ten sposób przekonanie o wyjątkowej przynależności do jakiejś grupy mniejszościowej, seksualnej, społecznej, religijnej, etnicznej oraz pogląd, że to, co robimy, i to, kim jesteśmy, zależy od naszej płci, preferencji seksualnej czy też rasy, paradoksalnie przyczynia się efektywnie do niszczenia wizji społecznej harmonii i wspólnego dobra, która leżeć ma u podstaw ideologii politycznej poprawności.

Zamiast jednoczyć – dzieli, stwarza coraz to nowe sprzeczne ze sobą interesy, niwelując płaszczyzny możliwego porozumienia. W ten sposób na placu boju pozostają wyłącznie poszczególne grupy interesu z ich niekończącą się listą roszczeń czy też jeszcze dłuższą listą pretensji do nadania tym roszczeniom ochrony normatywnej. Państwo powinno dbać o to, aby nieokiełznane partykularne żądania nie zniszczyły całkowicie wspólnoty, a co za tym idzie, nie osłabiły czy wręcz zniósły możliwości państwa do ochrony jednostek przed nierównym traktowaniem.

Wydaje się, że mniejszość i większość nie powinny być podstawowymi kategoriami, w jakich obywatele definiują swoją tożsamość. Podstawową kategorią powinna być równość wobec prawa, które ma zagwarantować odpowiednią sferę wolności. Antropologia naszego kręgu kulturowego zakłada z jednej strony równość wszystkich ludzi, ale jednocześnie trzeba pamiętać, że pierwotna wobec tej równości jest idea, że każdy człowiek jest wyjątkowy i niepowtarzalny.

Patrzeć więc na człowieka w pierwszym rzędzie jako na członka grupy mniejszościowej czy większościowej grozi zapomnianiem o istocie jego człowieczeństwa. Prawa człowieka w swej modelowej, a nie w zniekształconej i zinstrumentalizowanej wersji dają wyraz takiej właśnie uniwersalistycznej i głęboko egalitarnistycznej ideologii.

Jarosław Gowin, polityk i publicysta, poseł Platformy Obywatelskiej

Najprostsza definicja liberalnej demokracji mówi, że są to rządy większości z poszanowaniem praw mniejszości. Jeżeli od tej strony spojrzeć na to, co się wydarzyło w Polsce w roku 1989 r., to było to po prostu odzyskanie przez większość wpływu na kraj. Odsunięcie od władzy owej mniejszości, która, używając frazy Tadeusza Krońskiego, chciała sowieckimi kolbami nauczyć ludzi myśleć racjonalnie bez alienacji.

W 1989 r. do głosu doszło coś, co można nazwać kulturą wiodącą polskiego społeczeństwa. Były to pewne podstawowe przekonania większości, takie jak przywiązanie do narodu połączone z silnym poczuciem przynależności do zachodniego kręgu cywilizacyjnego. Przywiązanie do wiary przy jednoczesnym dystansie wobec prób angażowania się przez Kościół instytucjonalny w życie publiczne, a nawet przy takim lekkim ludowym antyklerykalizmie. Wreszcie przywiązanie do tradycyjnego modelu rodziny i moralności przy jednoczesnej tolerancji wobec osób i środowisk kontestujących ten tradycyjny świat wartości.

Jeżeli porównujemy sytuację Polski do sytuacji innych krajów europejskich, to wydaje mi się, że przejawów czynnego braku tolerancji w Polsce jest wyjątkowo mało, nawet w porównaniu z tymi społeczeństwami, które w Europie uchodzą za najbardziej tolerancyjne. Być może po części jest to efekt potwornego spustoszenia, do którego doszło na skutek II wojny światowej, czyli zniszczenia Polski jako kraju wielu nacji, wielu kultur, wielu religii. Dobrym przykładem jest np. powszechna aprobatą dla zawodowych aspiracji kobiet. W społeczeństwie, które uchodzi za bardzo tradycjonalistyczne, traktowane są one jako zupełna oczywistość.

Moim zdaniem po 1989 r. mniejszości, cokolwiek byśmy rozumieli pod tym pojęciem, miały tylko krótki okres, kiedy mogły czuć się w jakiś sposób zagrożone. To było pierwszych kilka miesięcy odzyskanej niepodległości. Rzeczywiście wtedy wśród części środowisk katolickich pojawiła się taka nuta triumfalizmu oraz postulaty, które dla mniejszości światopoglądowych mogły brzmieć alarmująco.

Podstawy do tych obaw okazały się krótkotrwałe. Zaowocowały one natomiast wyłonieniem się dwóch potężnych syndromów oblężonej twierdzy. Pierwszym środowiskiem nim dotkniętym jest znacząca część mniejszości liberalnych reprezentowanych przede wszystkim przez „Gazetę Wyborczą”. Środowiska te prowadzą systematyczną akcję antytradycjonalistycznej rewolty, do której zresztą mają w liberalnej demokracji i w pluralistycznym społeczeństwie pełne prawo. Tak samo pełne prawa ma drugie środowisko dotknięte tym syndromem. Najbardziej reprezentatywne jest dlań Radio Maryja. To środowisko katolickich tradycjonalistów, którzy z kolei uprawiają coś w rodzaju buntu, tym razem antymodernistycznego.

Nie widzę żadnych powodów do tego, by w sposób zinstytucjonalizowany ograniczać prawa takiej czy innej mniejszości do podjęcia próby przekształcania kultury wiodącej na modłę uważaną przez te środowiska za

pożądaną. Mój problem z mniejszością liberalną polega na tym, że bardzo łatwo przechodzi do prób zmiany kultury poprzez dyktat prawny. Zdaje się ona rozumować: skoro nie udaje nam się przekształcić potocznej mentalności Polaków poprzez perswazję, wychowanie, kampanie społeczne, to musimy znowu narzucić im racjonalne myślenie bez alienacji już nie za pomocą kolb sowieckich, ale np. decyzji sądów.

Dobrym przykładem była tu historia małej Róży. Rok temu z inspiracji Donalda Tuska zacząłem się przyglądać problemowi adopcji w Polsce. Wtedy odkryłem, że pod względem odsetka dzieci wychowanych poza domami rodzinnymi należymy do europejskiej czołówki – przekroczyliśmy 10 proc.

Moim zdaniem wytłumaczenie jest tylko jedno. W polskich sądach rodzinnych istnieje pewna ideologia antyrodzinna. Istnieje pewna wersja politycznej poprawności, która mówi, że patologią jest już sama bieda.

Kolejny przykład próby przekształcenia kultury wiodącej za pomocą regulacji prawnych to postulat wprowadzenia parytetów. W Polsce w ciągu ostatnich 20 lat toczy się nieustanna wojna między zwolennikami wolności, którzy są rozsiani w różnych obozach politycznych, a tymi, którzy świadomie bądź nie dążą do ograniczenia wolności. Mam wrażenie, że na razie górą są ci drudzy.

Kierując się pokusą inżynierii społecznej, żeby podyktować Polakom, na kogo mają głosować, przez wprowadzenie parytetu płci, zwolennicy czy w ogromnej większości zwolenniczki tych rozwiązań tak naprawdę dążą do ograniczenia przestrzeni wolności dla zwykłych Polaków.

Najświeższy przykład ograniczenia wolności słowa – przypadek „Gościa Niedzielnego”. Jeżeli tutaj przegramy wojnę o wolność, to tama może runąć i zalew politycznej poprawności może zniszczyć życie publiczne na wiele lat.

Zwolennicy wolności zawsze powinni się czuć zagrożeni, bo wolność jest, jak pisał lord Acton, kruchym owocem długotrwałych procesów cywilizacyjnych. Jestem daleki od nastrojów alarmistycznych. Ale trzeba zauważyć, że większość tych zagrożeń uchodzi uwagi szerokich kręgów społecznych. Mimo że to właśnie przeciętni Polacy będą w największym stopniu padali czy też już padają ofiarą tych ograniczeń. Sposobem przeciwdziałania negatywnym wpływom mniejszości, które starają się ograniczyć przestrzeń wolności w Polsce, jest budowa kontrelit. Na przykład budowa czegoś, co kiedyś nazywałem chrześcijańskim społeczeństwem obywatelskim.

Zdzisław Krasnodębski, socjolog, profesor uniwersytetów w Bremie i UKSW w Warszawie

Zawsze w Europie fascynowała mnie różnorodność. Wszystkie jej kraje są liberalnymi demokracjami. Jednak są szalenie różne.

Możemy być bardziej jak Irlandia i możemy być bardziej jak Holandia. Możemy też wybrać własną drogę. A kto może ją wybrać? Większość. Demokracja to rządy większości, przy założeniu, że mniejszość jest gotowa się im podporządkować. W sytuacji, kiedy nie jest to możliwe, wybucha wojna domowa albo wojna kulturowa.

W naszym porządku konstytucyjnym mamy także liberalizm, a więc ochronę praw mniejszości i praw jednostki. Od pewnego momentu ta ochrona wzbudza dyskusję wokół neutralności państwa. Czyni się mocne założenie, że w każdym społeczeństwie istnieje nieredukowalny pluralizm światopoglądowy, a więc państwo musi być neutralne.

Mam pewne wątpliwości, czy stanowisko neutralności państwa jest do obrony. Uważam, że liberalizm zawiera w sobie sprzeczność. Z jednej strony chciałby dać nam wolność. Ale z drugiej strony tylko pod tym warunkiem, że jakoś tam jesteśmy liberałami. Komunitaryści na przykładzie prawa i wyroków amerykańskiego Sądu Najwyższego pokazywali, że w gruncie rzeczy doktryna neutralności zakłada jednak pewną koncepcję człowieka jako jednostki autonomicznej i podejmującej wybory. Jest to woluntarystyczna koncepcja człowieka. Stąd np. poszanowanie prywatności to jest poszanowanie wyboru tej osoby.

Liberalizm miał zawsze jednak kłopoty z prawami grup, np. grup kulturowych. Dlatego, że grupy mogą więzić jednostkę. Co jest nadrzędne: uprawnienia jednostki czy grupowe?

Mimo całej różnorodności w gruncie rzeczy istnieje coś takiego jak kolektywna świadomość. Może być słabsza, może się zmieniać, ale istnieje. Po prostu tylko inne rzeczy uważa się za naganne: np. wypalenie papierosa w towarzystwie ludzi niepalących bardziej niż zabicie (przy spełnieniu pewnych procedur) osoby nieuleczalnie chorej. Zmienia się wrażliwość i decyduje o tym tkanka społeczna. W tym zakresie decyduje większość.

Zapytałem swoich niemieckich studentów, o co by się mogli pokłócić i stwierdziłem, że między nimi nie ma żadnej różnicy zdań. Oni na to odpowiedzieli: ależ my jesteśmy bardzo różnorodni. Bo im się mówi, że są różnorodni i mają różne zdania. W rzeczywistości są bardzo podobni. Dlaczego tak jest? Było to społeczeństwo, w którym trwała mocna wojna kulturowa zakończona zwycięstwem jednej strony i rodzajem paktu o nieagresji. I to jest naród pojednany. My nie jesteśmy narodem pojednanym.

Wszyscy uważają, że Polska to jest straszny, katolicki kraj. Tymczasem jeszcze 20 lat temu były tu dwa kody kulturowe, dwa systemy wartości. PRL była państwem ideokratycznym. Ciągłe to widzę w dyskusjach, szczególnie prowadzonych z ludźmi identyfikującymi się z lewicą.

Dlaczego Polska po 1989 roku wybrała konserwatyzm? Ja bym szukał tu pewnych analogii do Niemiec po nazizmie. Np. w Niemczech wielkie są jednak opory przed dopuszczeniem eutanazji w związku z praktykami nazistowskimi. I myślę, że w Polsce reakcją na komunizm był konserwatyzm – bardziej niż trwała religijność.

Niewykluczone, że to się kończy. Gdyby ta jedna strona w dyskusji, której akurat nie reprezentuje Jarosław Gowin, wygrała, to Polska będzie na pewno bardziej podobna do Holandii niż do Irlandii.

Barbara Fedyszak-Radziejowska, dr socjologii, związana z PAN i Politechniką Warszawską

Dla mnie istota sprawy tkwi w sprawnie działającej demokracji. Demokracja to sposób powoływania, sprawowania, kontrolowania i odwoływania władzy. Jeśli sprawnie działa, rozwiązuje większość problemów w relacji większość – mniejszość. To, że różne grupy mniejszościowe szukają sposobów zwiększenia swojego wpływu na decyzje, na władzę jest rzeczą normalną. Presja, lobbing, medialne akcje i spory o ostateczny kształt rozwiązań wspierają dobrze działającą demokrację. Władza i polityka to nie są rzeczy ani wstydlive, ani naganne. Jeśli w debacie publicznej mniejszości, różnie definiowane, mają zagwarantowaną obecność i możliwość formułowania oczekiwań i dyskusowania z większością – problem jest rozwiązany, co nie znaczy, że zgodnie z wolą mniejszości.

Czy problem mniejszości jest dzisiaj tak ważny? Czy III RP zapewnia im poczucie równości, swobody obywatelskie, tolerancję i rozwiązania gwarantujące poczucie bezpieczeństwa? Mam wrażenie, że tak, co nie oznacza przyjęcia zasady narzucania większości racji mniejszości.

Po drugie – jak rozumiemy równość? Czy jako etos egalitarny, czyli równość szans i równość wobec prawa, czy tak jak w PRL – jako statystycznie adekwatny rozkład uprawnień narzucany ustawowo lub przymusem.

Po trzecie, bardzo ważny jest język narracji. Czy narrację muszą (!) zdominować hasła prymatu wolności jednostek i równości mierzonej statystyką? Czy jest w niej równoprawne miejsce dla wartości konserwatywnych, odpowiedzialności, solidarności, narodu czy wierności chrześcijańskiej wizji świata? To wciąż jest w Polsce w rękach obywateli i ich elit.

W społeczeństwie często używa się kapitału symbolicznego i kulturowego w walce o wpływy, czyli władzę. Kapitał kulturowy „w nadmiarze” posiadają elity i skutecznie go używają na rzecz własnych interesów, celów i przywilejów. Przeciwwagą jest w demokracji pluralizm, kontrola i rotacja elit, także o politycznym charakterze.

Kapitału symbolicznego używają ci, którzy kapitału kulturowego nie mają, często są to mniejszości. Tak jest z rolnikami, mniejszościami religijnymi, narodowymi, tak można też interpretować zachowania społeczności homoseksualnych (swoją drogą dzisiaj niezłe wyposażonych w kapitał kulturowy). Symbolika krzywdy, marginalizacji, bywa skuteczna, ale do pewnych granic – racjonalności, obopólnych korzyści, wiarygodności etc.

Taka byłaby moja pointa, jeśli demokracja sprawnie działa, radzi sobie z nieuprawnionymi roszczeniami.

Żyjemy w kraju, w którym mężowie stanu odnajdywali się częściej w Kościele katolickim niż w PZPR, w kraju, w którym złe doświadczenia z doktrynerstwem postępu i nowoczesności wyrobiły w obywatelach odporność na nowinki parytetowe, małżeństwa homoseksualne etc.

Dlatego na pytanie: Polska większości czy mniejszości? odpowiadam: Polska sprawnie działającej demokracji. Mam wrażenie, że to ważniejsze, bo demokracja III RP jest bardzo daleka od tego wzorca.

Dariusz Gawin, historyk idei, zastępca dyrektora Muzeum Powstania Warszawskiego

Problemem jest nie samo pojęcie mniejszości, tylko mniejszości, którą większość odbiera jako agresywną. Paradoxem tej sytuacji jest to, że tego rodzaju mniejszości – tak jak na przykład radykalne ruchy gejowskie czy nowa lewica, często mówią o sobie, że doświadczają agresji ze strony społeczeństwa, ale same nie są w stanie spojrzeć na siebie jako na grupy, które są agresywne w stosunku do większości.

Kiedyś mniejszości walczyły o autonomię, o niepodległość, czyli o kontrolę nad terytorium rozumianym dosłownie. Teraz jest to przestrzeń symboliczna – kultura i obyczaj. Te mniejszości nie chcą uzyskać praw, lecz w istocie chcą zmienić funkcjonującą kulturę i społeczeństwo. Zmiana nie polega na tym, że dołącza się nowy element do istniejącej całości, lecz że zapowiada się głęboką zmianę tejże całości.

Dlatego też w zachowaniu agresywnych mniejszości uderza brak poczucia odpowiedzialności za całość. Kiedy słucha się roszczeń tych mniejszości, to wygląda na to, że chcą wynieść wszystkie korzyści z dobrze funkcjonującej całości bez żadnego poczucia odpowiedzialności za jej funkcjonowanie, ponieważ jej nie ogarniają.

Podam przykład – zawsze uderzała mnie pewna sprzeczność obecna w żądaniach mniejszości seksualnych na Zachodzie pod adresem sił zbrojnych, gdy domagały się równych praw w dostępie do armii. Czy chcą tego dlatego, żeby armia była sprawniejsza, czy też chodzi o to, żeby pokazać jednej z najbardziej przez nich zniechęconej instytucji tradycyjnego społeczeństwa, że i tak przegra w starciu z nimi?

Co więcej, one nie chcą nas jako większości przekonać, lecz chcą nas zmusić do zmian. Do tego potrzebne są instrumenty przymusu w postaci państwa i prawa oraz obyczaju, czyli norm politycznej poprawności, wyznaczających warunki brzegowe dyskursu publicznego. A ponieważ są mniejszością, wobec tego posługują się w tej walce z większością czynnikiem zewnętrznym, czyli Unią Europejską. Całość, do której się odwołują, nie jest „polska”, tylko „europejska”, co ma zły wychowawczy skutek dla większości polskiego społeczeństwa. Powoduje to bowiem ambiwalencję w stosunku do idei integracji europejskiej – modernizacja jest dobra, jeśli oznacza rozwój cywilizacyjny kraju, ale staje się dwuznaczna, jeśli opowiadana jest jako pakiet, w którym do autostrad obowiązkowo dołącza się małżeństwa homoseksualne. Radykalne mniejszości interesują się tylko wycinkiem realnej polityki – zbieżnym z ich własnym interesem. A co z interesem całości zbieżnym z interesem większości – z bezpieczeństwem, polityką zagraniczną, kwestiami energetycznymi? Te kwestie nie pojawiają się na horyzoncie radykałów. Potrzebują Brukseli, żeby nam wybić z głów naszą jakoby fałszywą świadomość, ale o interesach Polski jako takiej nie mają wiele do powiedzenia.

Zbigniew Stawrowski, filozof polityki, pracuje w Instytucie Politologii UKSW oraz w ISP PAN

Chciałbym zwrócić uwagę na znaczenie słów, którymi posługujemy się w naszej dyskusji. Jarosław Gowin przytoczył przed chwilą definicję demokracji – rządy większości z poszanowaniem praw mniejszości. Definicja sławna, ale niezbyt prawdziwa. Nie tylko dlatego, że rządzi nie tyle większość, ile zawsze pewne elity. Ważniejsze, że na pewno nie dzieje się to z poszanowaniem praw mniejszości, bo takich praw w ogóle nie ma. Podobnie zresztą jak praw większości. Prawa w mocnym sensie, a nie w sensie przyjętych przez władzę ustawowych przepisów, dotyczą wszystkich bez wyjątku. Są to, innymi słowy, prawa człowieka. Takie prawa przysługują każdemu człowiekowi ze względu na to, że jest człowiekiem.

Gdy wspominałyśmy o mniejszościach, lepiej mówić nie o prawach, lecz o pewnych przywilejach, które, gdy zostaną uznane i zaakceptowane, stają się elementem porządku prawnego w państwie. To normalne, że różne grupy starają się wywalczyć rozmaite przywileje. Są jednak przywileje, które można sensownie uzasadnić i usprawiedliwić oraz takie, których rozsądnie usprawiedliwić nie sposób. Nic dziwnego, że te drugie budzą w nas sprzeciw.

Jakie przywileje można uznać za dające się usprawiedliwić? Na przykład prawo do urlopu macierzyńskiego. Jest to niewątpliwie dobrze uzasadniony przywilej, związany ze szczególną rolą matki w społeczeństwie. Inny przykład, bardziej sporny, to przywileje ludności rolniczej, których nieraz broniła pani Barbara Fedyszak-Radziejowska, w przekonaniu, że grupa ta zasługuje na specjalne traktowanie ze względu na dobro społeczne i na istotne miejsce w narodowej kulturze.

Zazwyczaj uzasadnianie potrzeby uprzywilejowania pewnej grupy dokonuje się za pomocą odwołania do powszechnie uznanych, pozytywnych wartości, np. dobra rodziny, interesu społecznego, szczególnego miejsca, jakie dane grupa zajmuje w społeczeństwie, czy pewnych obiektywnych trudności, na jakie jest narażona (np. osoby niepełnosprawne). Ale od pewnego czasu pojawiły się nowe grupy, które domagają się przywilejów –

nazywając je właśnie prawami mniejszości – nie w imię jakiegoś pozytywnie sformułowanego celu, lecz powołując się na zasadę negatywną, zasadę niedyskryminacji.

Ten nowy sposób argumentacji przebiega odwrotnie, niż ma to miejsce w przypadku grup, które ze względu na swoje szczególne zadania czy obciążenia faktycznie zasługują na przywileje. Słyszymy coraz częściej: „Przywileje się nam należą dlatego, że inni już je mają. My nie powinniśmy być dyskryminowani. Wszyscy muszą mieć przecież równe prawa”. Trudno się oprzeć wrażeniu, że głównym motywem domagania się równości jest tutaj zawiść.

Poza tym powoływanie się na zasadę równości ma sens tylko tam, gdzie chodzi o rzeczywiste prawa. Ale tu nie prawa są przedmiotem sporu, lecz dobrze uzasadnione przywileje. Przede wszystkim te związane ze szczególną rolą rodziny oraz wyjątkowymi zadaniami i trudami, które spoczywają na barkach rodziców.

W gruncie rzeczy taka argumentacja antydyskryminacyjna – w imię fałszywie pojętej równości – toruje w konsekwencji drogę do zakwestionowania usprawiedliwionych, bo zakorzenionych w samej naturze człowieka, przywilejów. Pod hasłem troski o rzekome prawa mniejszości prowadzi się walkę o całkowite zniwelowanie wszelkich różnic, także tych najbardziej oczywistych, bez których trudno sobie wyobrazić ludzkie życie. W tym sensie na naszych oczach rodzi się naprawdę inny świat, zupełnie inna kultura.

Skrócony zapis debaty o miejscu mniejszości w demokracji, która odbyła się 28 września w redakcji „Rz”. Było to drugie spotkanie Klubu Ekspertów „Rz” – grupy osób zaproszonych przez redakcję do dyskusji nad najważniejszymi problemami debaty publicznej w Polsce.